



Władimir Putin. Wywiad, którego nie było
Przeczytaj fragment książki Arlety Bojke

(...) Wciąż byliśmy oszołomieni po tym, jak trafiliśmy pod samą bramę ogarniętego walkami lotniska. Kiedy tam jechaliśmy, wiedzieliśmy tylko tyle, że wstrzymano loty (my sami mieliśmy wylecieć następnego dnia) i trwają negocjacje między separatystami a obsługą. Nikt się tym przesadnie w redakcjach w Warszawie nie zainteresował, ale jeden z wydawców TVP Info poprosił, żeby pojechać i sprawdzić, co tam się dzieje. W drodze, w radiu usłyszeliśmy informację o wymianie ognia, ale kiedy dojechalśmy na miejsce, zrozumieliśmy, że to nie wymiana ognia, lecz regularna bitwa.

Nad naszymi głowami latały myśliwce, słychać było wystrzały z broni dużego kalibru, i to nie raz na jakiś czas, tylko bez przerwy. Dziennikarze – wśród nich my – podbiegali do bramy lotniska, próbując zrozumieć, co się dzieje. Walk na taką skalę w tym konflikcie jeszcze wtedy nie było i nikt nie był na to przygotowany, więc – patrząc z perspektywy czasu – nie wszystkie nasze zachowania wyglądały racjonalnie. Prawie nikt się nie odzywał. Jeden z dziennikarzy, korzystając z telefonu albo tabletu, pokazywał wszystko, co się dzieje, na żywo w internecie. Oglądali to moi koledzy z redakcji w Warszawie, którzy potem opowiadali, że było słychać, jak krzyczę do operatora Marcina Wesołowskiego: Wesołek, wyp***aj mi stamtąd, zaraz coś znowu wybuchnie! Co chwila telefonicznie łączyłam się z Warszawą i wtedy próbowałam się chować za budynkami; potem znów szukałam Marcina, który chciał jak najlepiej pokazać sytuację. Część mieszkańców – tak, obok stały domy! – zamykała się na swoich posesjach, część wychodziła popatrzeć na to, co się dzieje. Mniej więcej osiemdziesięcioletni mężczyzna pojawił się na prowadzącej do lotniska ulicy z bronią myśliwską i wymierzył ją w stronę krążących nad nami samolotów. Separatyści chowali się między dziennikarzami; bitwa zaczęła coraz bardziej wychodzić poza granice lotniska i coraz mocniej dotyczyć nas.

Zaczęliśmy obmyślać plan, jak się stamtąd wydostać, bo drogi dojazdowe były już zamknięte przez milicję, a taksówkarz, który nas przywiózł, szybko uciekł. Przez chwilę zastanawialiśmy się, jak zabrać statyw, który Marcin odstawił po drodze, żeby mu nie przeszkadzał. Szybko jednak zorientowaliśmy się, że strzały padają coraz bliżej nas i o żadnym wracaniu się po statyw nie ma

już mowy. W końcu spod lotniska zabrała nas rodzina z kilkumiesięcznym dzieckiem. Zdecydowali, że nie ma co dłużej czekać, że trzeba się ratować. Zawieźli nas do hotelu, nie chcieli pieniędzy. Potem żałowałam, że nie wzięłam do nich żadnego kontaktu, ale wtedy trudno było zapanować nad emocjami.

Miałam dwie godziny na napisanie i zmontowanie materiału. Nawet nie pamiętam, co mówiłam, kiedy łączyłam się ze studium – powiedziałam wtedy operatorowi. Byłam mokra ze stresu. Później długo dyskutowaliśmy o tym, ile osób mogło zginąć, więc następnego dnia postanowiliśmy to sprawdzić i pojechaliśmy do jednej z kostnic w Doniecku. Tylko do tej, do której trafiliśmy, przywieziono trzydzieści ciał. Były w strasznym stanie. Nigdy nie zapomnę twarzy kolegi, operatora czeskiej telewizji, który wyszedł z kostnicy zielony. Nie reagował na pytania, zupełnie zamknął się w sobie. Pamiętam doskonale swoją pierwszą myśl i słowa skierowane do stojących obok kolegów: On jedyny reaguje, jak należy.

My już jesteśmy chyba cyniczni i znieczuleni. Przeraziło mnie to, że potrafiłam całkowicie wyłączyć emocje. Przed kostnicą, małym budyneczkiem wciśniętym pomiędzy kilkanaście wielkich budynków należących do kompleksu szpitalnego, na murku przy płocie siedział mężczyzna w stroju przypominającym mundur i w ciemnych okularach. Przy koszuli miał wstążkę świętego Jerzego, założyłam więc, że to jeden z separatystów. Rozumiem, że to wasi? – zapytałam. Tak. Na lotnisku ciał jest kilka razy więcej, ale ukraińska armia nie pozwala ich wywozić. Jest gorąco, więc trupy zalewają gazonym wapnem – odpowiedział. Nie sposób było to zweryfikować, bo bezpiecznego dostępu do lotniska nie było jeszcze długo. Wydawało nam się to prawdopodobne, choć emocje mogły nieco ubarwić to, co mówił, szczególnie w kwestii stawiania przeciwnika w jak najgorszym świetle.

Pojechaliśmy dalej. Przed jednym z budynków zobaczyłam grupę ludzi w mundurach. Kiedy się zorientowali, że idziemy w ich stronę, dwóch ruszyło ku nam i szybko stało się jasne, kim są: uzbrojeni po zęby, dobrze zbudowani, śniadzi. Dokąd idziecie? – zapytali i akcent nie pozostawiał już żadnych wątpliwości, że to Czeczeni. Nie było czuć od nich alkoholu, ale wyraźnie byli czymś odurzeni. Mówili powoli i nie do końca składnie, jeden miał opatrunek na ramieniu.

Zbieramy informacje na temat tego, co się wczoraj działo na lotnisku w Doniecku. Byliście tam? – zapytałam. Chwila wahania. Musieliśmy wytłumaczyć, kim jesteśmy, ale nie było nerwowej reakcji i krzyku. Jeden z nich zgodził się nawet na rozmowę przed kamerą, ale bez pokazywania twarzy. Przyjechaliśmy tu na prośbę narodu donieckiego, żeby pomóc im poradzić sobie z obcymi wojskami – zaczął swoją wypowiedź. Na pytanie, czy są czeczeńskim batalionem „Wostok”, odpowiedzieli, że tak, chociaż mogli być co najwyżej jego byłymi członkami, bo ten batalion został rozformowany w 2008 roku, a walczące w Donbasie ugrupowanie o tej samej nazwie składało się nie tylko z Czeczenów. To nie byli ochotnicy, którzy jeszcze miesiąc temu pracowali w fabryce, a teraz chwycili za broń. To byli przygotowani do walki bojownicy, zawodowi albo byli żołnierze. Przyznali, że dzień wcześniej walczyli na lotnisku. Chcieliśmy pomóc w zorganizowaniu rozmów pokojowych, ale ukraińska armia zaczęła do nas strzelać – twierdzili, chociaż wszystkie fakty wskazywały na to, że zamierzali przejąć całkowitą kontrolę nad lotniskiem, a obecni tam ukraińscy żołnierze stawili im opór. Miałam pewność, że pojawiające się

informacje i spekulacje o czeczeńskim wsparciu dla separatystów w Donbasie to nie plotki. Kilka dni później ich oddział pojawił się przed donieckim budynkiem lokalnej administracji, który stał się siedzibą samowładnych separatystycznych władz. Rozebrali barykady, wyrzucili ze środka część ludzi. Oficjalnie barykady zagrażały bezpieczeństwu, bo w razie ostrzału mogły utrudniać ewakuację, a wyrzuceni mieli być szabrownicy, którzy okradli supermarket przy lotnisku. Nieoficjalnie jasno było widać, że wśród separatystów nie ma jednolitego dowództwa i że to próba sił między różnymi frakcjami.

Choć nazwisko Ramzana Kadyrowa nie padało w rozmowach czy próbach rozmów z Czeczenami w Donbasie, to nazwa, która padła – batalion „Wostok” – wskazywała na to, że to jego ludzie. Choć sam prezydent Czeczenii się zarzekał, że nikomu żadnych rozkazów nie wydawał, to jednak trzeba wziąć pod uwagę, że w pamiętającej całkiem niedawne walki republice służby mają oko na każdego, a już z całą pewnością na tych, którzy mają broń, służyli w armii, być może nawet brali udział w wojnach czeczeńskich. Trudno więc sobie wyobrazić, żeby zorganizowana grupa czeczeńskich bojowników wyjechała z Czeczenii bez wiedzy i choćby cichego przyzwolenia Kadyrowa. On z kolei odpowiada przed swoim chlebodawcą, Władimirem Putinem, który daje mu pieniądze na utrzymywanie porządku w republice.

W Donbasie Czeczeni walczyli również po stronie sił rządu w Kijowie, ale te dwie grupy trzeba wyraźnie oddzielić. Gabriela Baczyńska, koleżanka z Agencji Reutera, spotkała tych drugich w hotelu w Dniepropietrowsku, ale zanim się wyjaśniło, co i jak, to sytuacja była nieprzyjemna. Jeździła z operatorem z biura w Moskwie, też Czeczenem, i trafiła w sam środek czeczeńskiej kłótni w hotelowym lobby. Z czeczeńskiego trudno cokolwiek zrozumieć, więc chwilę to trwało, zanim udało się opanować emocje. Okazało się, że to byli Czeczeni, którymi dowodził Isa Munajew, były komendant Groznego, dowódca batalionu walczącego z Moskwą Dżochara Dudajewa. Operatora Reutera wzięli za „kadyrowca”, co uznają za największą zdradę. Ci drudzy Czeczeni nie przyjechali z Czeczenii – od lat mieszkają w zachodniej Europie. Sam Munajew w październiku 2014 roku w rozmowie z telewizją Bielsat mówił: Ukraina to taka czeczeńska kalka jeden do jednego. Jestem tu już ponad dwa miesiące i obserwuję: tu realizuje się dokładnie taki sam scenariusz, jaki był u nas. Zginął w lutym 2015 roku w walkach o Debalcewe. Kadyrow, który jeszcze w maju 2015 roku się zarzekał, że nikogo do Donbasu nie wysyłał, w lipcu w wywiadzie dla rosyjskiej agencji informacyjnej RIA Novosti powiedział, że wszystkim czeczeńskim najemnikom kazał wrócić ze wschodniej Ukrainy. Tam byli ochotnicy. Teraz ich już nie ma. Kiedy ogłoszono rozejm, wszystkich naszych ochotników zaprosiliśmy, żeby wracali do domu. Siedźcie w domu! Teraz tam w ogóle nie powinno już być żadnego z naszych. Ci chuligani, których tam mieliśmy, zostali sprowadzeni do domu – tłumaczył prezydent Czeczenii, nie biorąc pod uwagę, iż wynika z tego, że skoro miał możliwości, by ich z Donbasu ściągnąć, to znaczy, że jednak jest w stanie ich kontrolować. (...)

Książkę można kupić tutaj:

<http://ksiegarnia.pwn.pl/Wladimir-Putin.-Wywiad-ktorego-nie-bylo,689473829,p.html>